

# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# A NIECH TO ŻÓŁWIE TASMANA!

Jack London

Umiłowanie prawa i porządku oraz powściągliwość kształtowały twarz Fryderyka Traversa. Była to mocna, stanowcza twarz człowieka nawykłego do władzy i używającego jej z rozważą i ostrożnością. Zdrową cerę zawdzięczał higienicznemu trybowi życia, a widoczne na niej bruzdy były godne szacunku — zostawiła je ciężka, porządna praca, ot co. Każdy szczegół tej twarzy mówił to samo — jasnoniebieskie oczy, bujne, lekko siwiejące brązowe włosy, Starannie rozdzielone i prosto zaczesane nad mocno sklepionym czołem. Był mężczyzną solidnym i wypielegnowanym, a przewiewny letni garnitur roboczy podkreślał jeszcze żywość jego ruchów, nie ujawniając jednocześnie zbyt jaskrawo faktu, że człowiek ten posiada wiele milionów dolarów i rozległe nieruchomości.

Albowiem Fryderyk Travers nie znosił ostentacji. Samochód, czekający nań przy głównej bramie, miał skromny czarny kolor: była to najdroższa maszyna w hrabstwie, a przecież nie starał się epatować nikogo jej ceną czy mocą silnika, choć stać go było na rozbijanie się po kraju jakimś czerwonym bolidem, tym bardziej że piękny krajobraz w większej części stanowił jego własność — od wydm i fal wiecznie upalnego wybrzeża Pacyfiku, poprzez urodzajne namuly równin i górskie pastwiska, aż po dalekie góry, ubrane w sekwojowe lasy i spowite mgłą.

Usłyszawszy szelest damskiej sukni, spojrzął przez ramię; zachowanie mężczyzny zdradzało le dwie uchwytny cień zniecierpliwienia. Jego powodem wszakże z pewnością nie była córka Fryderyka Traversa: raczej było to coś, co leżało przed nim, na pulpicie biurka.

— Cóż to znów za dziwaczne nazwisko? — spytała. — Na pewno nigdy go nie zapamiętam. Przyniosłam nawet notes, aby je zapisać.

Jej głos był niski i chłodny. Była wysoką, dobrze zbudowaną młodą kobietą o jasnej karnacji. Z zachowania dziewczyny przebijały, jak u ojca, spokój ducha, równowaga i opanowanie.

Fryderyk Travers przeczytał głośno podpis pod jednym czy dwoma z leżących przed nim listów: „Bronisława Płaskowiecka-Travers”, i powtórzył, litera po literze, pierwszą, trudniejszą część nazwiska, a dziewczyna zapisała ją na kartce papieru.

— A więc pamiętaj, Mary — dodał jeszcze — że Tom był zawsze postrzelony i że musisz być wyrozumiała dla tej jego córki. To nazwisko jest... hm, doprawdy dziwaczne. Toma nie widziałem od lat, a co do niej... — wzruszył ramionami jakby z obawą i uśmiechnął się z wysiłkiem: — Są zarówno moimi, jak i twoimi krewnymi... On jest moim bratem, czyli twoim stryjem; ona — moją bratanicą, a więc jesteście kuzynkami...

Mary skinęła głową. — Nie obawiaj się, ojczu, będę dla niej miła. Jakiej narodowości była jej matka? Okropne nazwisko...

— Nie wiem; Polka, Rosjanka czy Hiszpanka — coś w tym rodzaju. To było zupełnie w stylu Toma. Aktorka czy śpiewaczka — nie pamiętam. Poznali się w Buenos Aires i uciekli razem. Jej mąż...

— A więc była zameżna! — konsternacja Mary była szczerą i spontaniczną, a irytacja jej ojca tym razem wyraźna. Nie to chciał powiedzieć. Wyrwało mu się, ot tak.

— Był oczywiście rozwód; nigdy zresztą nie poznałem szczegółów. Jej matka umarła w Chinach — nie, na Tasmanii; a w Chinach Tom... — i o mało nie pacnął się dłonią w usta. Nie, do licha, tym razem nie palnie głupstwa. Mary czekała chwilę, potem z wahaniem skierowała się ku drzwiom.

— Dałam jej pokoje wychodzące na klomby z różami — powiedziała. — Pójdę tam jeszcze popatrzeć.

Fryderyk Travers odwrócił się ku pulpitowi biurka, jakby chciał odsunąć leżące przed nim listy;

zmienił jednak zamiar i wolno, w zadumie, zaczął je czytać od nowa:

„Drogi Fredzie,

*Dawno już nie oglądałem naszego starego domu; chciałbym bardzo wpaść. Niestety, moje jukatańskie projekty diabli wzięli — chyba o tym pisałem — i znów jestem goły, jak zwykle. Czy mógłbyś mi przesłać środki na tę wycieczkę? Chciałbym przyjechać w dobrej formie. Wiesz, że Polly jest ze mną. Ciekaw jestem, jak wam będzie z sobą.*

Tom.

*P.S. Jeśli Ci to nie sprawi kłopotu, prześlij pieniądze najbliższym kurierem".*

Drugi list pisany był ręką kobiecą. Pismo, choć staranne i wyraźne, było dziwne, jakby cudzoziemskie.

„Drogi Stryju Fredzie,

*Tatusz nie wie, że piszę ten list. Powiedział mi zupełnie to samo, co i Tobie. Otóż to nie jest prawda. On wraca do domu, aby umrzeć. Nie wie o tym, ale ja rozmawiałam z lekarzami. Musiałby zresztą wrócić, bo nie mamy pieniędzy. Mieszkamy w dusznym, małym pensjonacie, a to nie jest miejsce dla Tatusia. Całe życie pomagał innym, a teraz sam potrzebuje pomocy. Z jego planami jukatańskimi było inaczej. Wiem, bo byłam z nim. Włożył w to przedsięwzięcie wszystko, co miał, i okradziono go. Nie jest po prostu w stanie wygrać ze specami od interesów z Nowego Jorku, i to tłumaczy wszystko. Jestem zresztą dumna z tego, że przegrał. Śmieje się i powtarza, że nie będziemy żyć w zgodzie, ale nie wierzę w to. Przecież nigdy w życiu nie widziałam prawdziwego, żywego krewnego. I masz jeszcze córkę! Pomyśl — prawdziwa, rzeczywista kuzynka!*

Twoja bratanica

*Bronisława Płaskowiecka -Travers.*

*P.S. Będzie lepiej, jeśli pieniądze prześlesz telegraficznie, inaczej nigdy Tatusia nie zobaczysz. Nie wie, jak (bardzo jest chory, a jeśli spotka któregoś ze swych starych przyjaciół, znowu wybiorą się razem z motyką na słońce. Ostatnio przebąkuje coś o Alasce. Mówi, że wypędzi mu to gorączkę z kości. Pamiętaj, proszę, że musimy opłacić pensjonat, albo też przyjedziemy bez bagażu.*

B. P. -T."

Fryderyk otworzył drzwi wielkiego, wbudowanego w ścianę sejfu i starannie ułożył listy (w przegródce opatrzonej napisem „Tomasz Travers").

— Biedny Tom! Biedny Tom! — westchnął głośno.

Przed stacją czekał już wielki samochód. Siedzącego w nim Fryderyka Traversa przejął nagły dreszcz jak zawsze, gdy słyszał daleki gwizd pociągu zanurzającego się w dolinę Isaac Travers River. Jako pierwszy z białych pionierów idących na Zachód ujrzał Izaak Travers tę wspaniałą krainę, jej potoki pełne łososi, jej urodzajne ziemie i dziewicze lasy, pokrywające stoki gór. Zobaczywszy tę ziemię, pochwycił ją i już nie puścił. „Ubogi obszarnik” — tak nazywano go kiedyś, we wczesnym okresie kolonizacji. Lecz było to dawno, w czasach gdy złote złoża już się wyczerpywały, gdy nie było jeszcze kolei ani holowników dla przeprowadzenia statków żaglowych przez niebezpieczne mielizny i gdy w porze mielenia pszenicy jedyne w okolicy młyna trzeba było strzec z bronią w ręku przed włóczącymi się bandami Indian z plemienia Klamathów. Jaki ojciec, taki syn: to, co zagarnął Izaak Travers, Fryderyk Travers utrzymał. Była w nich ta sama nieustępliwość i ta sama dalekowzroczność. Obaj dawno przewidzieli wielkie zmiany, jakie nastąpiły na dalekim Zachodzie: przyście kolei żelaznej i budowę nowej wielkiej metropolii na wybrzeżu Pacyfiku.

Gwizd lokomotywy przypominał Fryderykowi Traversowi także o tym, że bardziej niż czyjakolwiek jest to jego kolej. Ojciec do końca swego życia walczył o przeciągnięcie drogi żelaznej przez góry, co miało mu przynieść sto tysięcy dolarów odszkodowania za każdą milę jego gruntów. On, Fryderyk, doprowadził tę walkę do końca. Niejedną noc temu poświęcił: kupował gazety, zaczął zajmować się polityką, finansował różne stronnictwa i wiele razy pielgrzymował za własne pieniądze na Wschód, do kolejowych magnatów. Wszyscy w hrabstwie wiedzieli, przez ile mil jego terenów pobiegła żelazna droga, ale nikomu nawet się nie śniło o sumach, które poszły na gwarancje i kontrakty. Zrobił wiele dla hrabstwa, a linia kolejowa była ostatnim i największym z jego osiągnięć, ukoronowaniem Wszystkich wysiłków rodziny Traversów, przedsięwzięciem ważnym i wspaniałym, które dopiero co zostało ukończone. Kolej funkcjonowała zaledwie dwa lata, a mówiono już o dywidendach, co było najwymowniejszym potwierdzeniem słuszności jego sądu. Rysowała się także perspektywa trwalszej nagrody: chodziły słuchy, że nazwisko następnego gubernatora Kalifornii brzmić będzie Fryderyk A. Travers.

Dwadzieścia lat upłynęło od ostatniego widzenia się ze starszym bratem; już wtedy nie widzieli się od lat dziesięciu. Dobrze pamiętał ową noc. Tom był jedynym człowiekiem, który ważył się na przepłynięcie w ciemności przybrzeżnej ławicy, a tamtej nocy, przy południowo-wschodniej bryzie, przeprowadzał przez nią dwukrotnie swój szkuner, wpływając do zatoki i wypływając z niej znowu w świat. Zjawił się bez uprzedzenia — stuk kopyt o północy, okryty płatami piany koń — i on sam, z twarzą białą od soli, jak twierdziła matka. Został tylko godzinę i odjechał na świeżym koniu; strugi deszczu smagały okna i wzmagający się wiatr pojękiwał wśród sekwoi. Wspomnienie tych odwiedzin było niby silny, świeży wiew idący z dalekiego, dzikiego lądu. W tydzień później przyplłynął skolatany burzą i przeprawą przez ławicę „Niedźwiedź”, kuter celników, a w lokalnej gazecie pojawił się artykuł na całą kolumnę, pełen domysłów i aluzji na temat lądowania przemytników dużej ilości opium i bezskutecznych poszukiwań tajemniczego szkunera „Zimorodek”. Tylko Fred, matka i paru Indian ze służby wiedziało o zgonionym koniu stojącym w stajni, o okrężnej drodze, którą przesznułowano go potem do rybackiej osady na wybrzeżu.

A jednak mimo tych dwudziestki lat mężczyzna wysiadający właśnie z wagonu był tym samym Tomem Traversem. Nie wyglądał na chorego. Postarzał się widocznie, to fakt: włosy pod panamskim kapeluszem były już dobrze szpakowate, ale ramiona, choć jakby nieco przygarbione, nadal mocne i szerokie. Co zaś się tyczy młodej kobiety, która wysiadła wraz z nim, to Fryderyk

natychmiast poczuł do niej niechęć. Było to doznanie — żywiołowe, a przecieź nieokreślone — czegoś jakby wyzwania i drwiny; jednak nie potrafiłby dokładnie tego nazwać ani wskazać źródła. Może był to jej kostium o cudzoziemskim kroju, uszyty z płótna, bluzka z oryginalnym paskiem — a może niesforność kruczonych włosów, gorący blask maków przypiętych do wielkiego słomkowego kapelusza, czy też kolor i połysk czarnych oczu i brwi, różowość policzków i biel równych zębów, które pokazywała nieco zbyt chętnie? — Jest rozpuszczona — pomyślał, ale nie miał już czasu na analizę, bo oto ścisnął dłoń brata i witał się z jego córką.

A potem znowu. Cała postać dziewczyny mówiła i rozsiewała blask; mówiły przede wszystkim jej ręce. Nie mógł nie zauważyć, jak były maleńkie — małe aż do absurdu; machinalnie przeniósł wzrok na jej stopy, aby stwierdzić to samo. Na peronie zebrał się tłum gapiów, ale ona zdawała się tego nie widzieć. Spozstrzegła natomiast, że Fryderyk chce ich prowadzić do samochodu, i zaraz umieściła w nim braci obok siebie. Tom zgadzał się na wszystko z uśmiechem, ale jego młodszy brat czuł się nieswojo, aż nadto świadom wielu obserwujących go oczu. Uznając jedynie stare, purytańskie wzorce postępowania uważał, że uroczystości rodzinne są dla rodziny, a nie na pokaz. Toteż był zadowolony, że dziewczyna nie ucałowała go; zresztą fakt ten dawał do myślenia. Już zaczynał odczuwać nieokreśloną obawę przed bratanicą.

Polly objęła obu mężczyzn; jej spojrzenie było gorące jak słoneczny promień, widzące wszystko w nich, nad nimi i poza nimi.

— Jesteście rzeczywiście podobni jak bracia! — wykrzyknęła, a jej oczy i ręce zamigotały w szybkim ruchu. — Każdy to powie. Ale jest jakaś różnica — nie wiem, nie potrafię wytłumaczyć.

Rzeczywiście, z zadziwiającym wyczuciem, przewyższającym nawet delikatną wyrozumiałość Fryderyka, powstrzymała się od dalszych porównań. Jej wielkie oczy niby oczy artysty uchwyciły natychmiast zasadniczą i wyraźną różnicę między braćmi. Byli oczywiście podobni do siebie, ich rysy świadczyły o nie ulegającym wątpliwości wspólnym pochodzeniu, ale na tym kończyło się owo podobieństwo. Tom był o trzy cale wyższy, a jego długi wąs wikinga mocno już posiwiiał. Miał taki sam jak Fryderyk orli nos, z tą tylko różnicą, że był on bardziej orli; także jego oczy były bardziej błękitne niż oczy brata. Rysy miał ostrzejsze, bruzdy na twarzy głębsze, kości policzkowe bardziej wystające, cerę bardziej smagłą. Ta twarz przypominała wulkan — kiedyś była ona pełna ognia, którego resztki jeszcze teraz snuły się po niej. W kącikach oczu Toma zbiegało się więcej wesołych zmarszczek, a same oczy zapowiadały możliwość powagi głębszej niż u młodszego brata. Sposób bycia Fryderyka był solidny, mieszczkański; natomiast w zachowaniu Toma wyczuwało się pewną nonszalancję i dystynkcję. Choć w obu płynęła ta sama krew pioniera, Izaaka Traversa, widać było, że destylowała się ona w zupełnie różnych tyglach. Fryderyk reprezentował prostą i jawną linię rodu, w Tomie zaś kryło się coś rozległego i nieuchwytnego, nie znanego w rodzinie Traversów. Wszystko to czarnooka dziewczyna pojęła w lat. Owa niewytłumaczalna różnica między mężczyznami, a także pokrewieństwo, które ich łączyło, objawiło się jej natychmiast, gdy stanęli obok siebie.

— Uszczypnij mnie — mówił Tom — nie chce mi się wierzyć, że przyjechałem tu pociągiem. A ile tu ludzi! Trzydzieści lat temu nie było ich więcej niż cztery tysiące!

— Teraz miasto liczy sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców — brzmiała odpowiedź — i liczba ta ciągle gwałtownie rośnie. Może chcesz się przejechać po mieście? Mamy mnóstwo czasu!

Mknęli po szerokiej, porządnie wybrukowanej drodze, a Tom nie mógł wyjść ze zdumienia niby Rip van Winkle. Widok wybrzeża wprowadził go w osłupienie. Tam gdzie kiedyś była głębia killusąźniowa, na której kotwiczył swój jacht, teraz ciągnął się stały ląd, tory kolejowe i urządzenia portu, a jeszcze dalej były nabrzeża.

— Stój! Stop! — krzyknął w chwilę potem, spoglądając na solidny budynek. — Gdzie jesteśmy,

Fred?

— Firma „Fourth i Travers”, nie pamiętasz?

Tom wstał i rozglądał się wokoło, próbując wyłuskać dawny, dobrze mu znany kształt tej okolicy spod pokrywającej ją masy kamiennej zabudowy.

— To chyba tu... — zaczął z wahaniem. — Nie, na Boga, jestem pewien: polowaliśmy tu nieraz na króliki i strzelali do kosów. A tam, gdzie stoi budynek bankowy, był staw. — Odwrócił się do Polly:

— Tam właśnie skleciłem pierwszą w życiu tratwę i zakosztowałem smaku morza...

— Bóg jeden wie, ileś wtedy nałykał się wody — uśmiechnął się Fryderyk, dając znak szoferowi. — Całą beczkę chyba...

— Jeszcze, jeszcze! — wołała Polly klaszcząc z uciechy.

— Tam jest park — podjął po chwili Fryderyk, wskazując wielką połąć dziewiczego sekwojowego lasu na zboczach wzgórz.

— Ojciec zabił tam kiedyś trzy niedźwiedzie w jedno popołudnie — dodał Tom.

— Czterdzieści akrów podarowałem miastu — ciągnął Fryderyk. — Jedną czwartą tego terenu ojciec kupił po dolarze za akr od Leroya.

Tom skinął głową; w jego oczach tak jak w oczach dziewczyny zapalały się błyski, których we wzroku Fryderyka nie widziało się nigdy.

— Tak — potwierdził — od Leroya, Murzyna ożenionego z Indianką. Pamiętasz, jak zaniósł nas obu na plecach do Sprzymierzeńców, gdy pewnej nocy Indianie spalili ranczo, a ojciec został, by odpierać ataki?

— Nie udało mu się jednak ocalić młyna. To był dla niego ciężki cios.

— Tak czy inaczej, wykończył tam czterech Indian.

— Bił się z Indianami! — w oczach Polly znowu pojawiły się błyski. — Opowiedzcie o nim!

— Opowiedz jej o promie Traversów — powiedział Tom.

— W (miejscu, gdzie szlak wiodący do Orleans Bar i Siskiyou przecina Klamath River, zbudowano kiedyś prom. Ponieważ były to czasy wielkiej gorączki złota, ojciec umieścił w owym przedsięwzięciu pewien kapitał. Była tam także duża, bogata farma. Ojciec zbudował na rzece most wiszący, upłócił go przy pomocy marynarzy z materiałów sprowadzonych z wybrzeża. Kosztowało go to dwadzieścia tysięcy dolarów. Pierwszego dnia przeszło po moście osiemset mułów, co przyniosło osiemset dolarów zysku, nie licząc opłat od pieszych i konnych. W nocy rzeka wezbrała. Most wisiał sto czterdzieści stóp nad poziomem wody, ale potok podniósł się jeszcze wyżej i zabrał most. Gdyby nie to, ojciec byłby zrobił na nim fortunę.

— Nie o to mi chodziło — przerwał zniecierpliwiony Tom — tylko o to, jak ojca i starego Jakuba Vance zaskoczyli przy promie Indianie znad Mad River, którzy weszli akurat na ścieżkę wojenną. Stary Jakub zginął przed chatą; ojciec wciągnął ciało do środka, zabarykadował się i przez tydzień odpierał ataki czerwonoskórych. Był lekko ranny, zwłoki Jakuba pochował pod podłogą chałupy.

— Nadal prowadzę ten prom — kontynuował Fryderyk — choć nie ma tam już takiego ruchu jak kiedyś. Transporty idą teraz pociągami aż do Rezerwatu, potem na grzbietach mułów w górę Klamath River i prosto w widły Małego Łososia. Mam w tych górach dwanaście magazynów, linię dylizansową do Rezerwatu i hotel. Ruch turystyczny zaczyna przynosić dochody.

Dziewczyna zaś spoglądała w zamyśleniu to na jednego, to na drugiego z braci, w sposób tak odmienny mówiących o sobie i o życiu.

— To był mocny facet, ten nasz ojciec — zamruczał Tom sennym głosem.

W żywych oczach Polly pojawił się niepokój. Samochód skręcił teraz w stronę cmentarza i zatrzymał się przed okazałym grobowcem, stojącym na szczycie wzgórza.

— Myślę, że chciałbyś obejrzeć mauzoleum — mówił Fryderyk. — Sam zbudowałem je na życzenie matki, prawie w całości własnymi rękami. Majątek był Wtedy poważnie obciążony długami, a najniższa oferta, jaką przedstawiali agenci budowlani, opiewała na jedenaście tysięcy. Sam więc wziąłem się do roboty i w ten sposób kosztowało mnie to niewiele ponad osiem.

— Musiałeś terować nocami — z podziwem i jeszcze bardziej sennie wymamrotał Tom.

— Tak, tak, Tomie. Niejedną noc spędziłem tu, pracując parzy świetle latarni. Miałem masę roboty. Odbudowywałem Wtedy urządzenia wodne, bo studnie artezyjskie zawiodły; matka miała poważne kłopoty z oczami. Pamiętasz — katarakta, pisałem ci o tym. Była zbyt osłabiona na podróż, więc musiałem sprowadzać specjalistów z San Francisco. Miałem pełne ręce roboty z tym wszystkim. Kończyłem także tę nieszczęsną sprawę linii do San Francisco, obsługiwanej przez parowce, którą założył ojciec, i musiałem nadal płacić procenty od hipoteki, ni mniej, ni więcej tylko sto osiemdziesiąt tysięcy.

Przerwał mu cichy, chrapliwy oddech. Tom spał z głową zwieszoną na piersi. Polly spojrzała znacząco na wuja; jej ojciec poruszył się niespokojnie przez sen i podniósł ciężkie powieki.

— Cholernie dziś gorąco — powiedział z jasnym, przepraszającym uśmiechem. — Zdrzemnąłem się. Już chyba niedaleko?

Fryderyk dał znak szoferowi i auto pomknęło dalej.



Dom, który zbudował Fryderyk Travers, gdy zaczęło mu się dobrze powodzić, był wielki, kosztowny i skromny jednocześnie, a prócz tego wygodny i bezpretensjonalny — słowem taki, jaki powinien być najwykwintniejszy w hrabstwie wiejski dom. Panowała w nim odpowiednia — to znaczy stworzona przez niego i córkę — atmosfera. Ale po przyjeździe brata wszystko się zmieniło. Stonowany i uporządkowany spokój tego domu znikł i Fryderyk nie czuł się w nim dobrze. Wtargnął bowiem do niego niezwykle, gwałtowny podmuch życia, wywracający święte zwyczaje i tradycje. Posiłki, podawane nieregularnie, przeciągały się często. Kolacje trzeba było odgrzewać, bo jadano je nierzadko o północy; wybuchy śmiechu słyszało się w porach najmniej po temu odpowiednich.

Fryderyk był wstrzemięźliwy w jedzeniu i picciu. Jeśli pozwalał sobie na kieliszek wina przy obiedzie, to był to nieledwie dziki wybryk. Wypalał dziennie trzy cygara, i to tylko w palarni albo na werandzie. Do czegoż bowiem innego może służyć palarnia? Papierosów nie znosił. Tymczasem jego brat ciągle skręcał sobie cienkie papierosy z brunatnej bibułki i palił je gdzie popadło. Wielki wygodny fotel i poduszki podokiennych kanapek, na których siadywał, zawsze wymoszczone były okruchami tytoniu. No i te koktajle. Wychowany pod surowym nadzorem Izaaka i Elizy Travers Fryderyk patrzył na alkohol w domu jak na ostatnie świństwo. Za takie właśnie zdrożne praktyki gniew Boga poraził niegdyś starożytne miasta. Tymczasem przed każdym lunchem i obiadem Tom, któremu w tych występnych obrządkach pomagała Polly, mieszał coraz to nowe odmiany koktajli. Polly była zresztą mistrzynią w przyrządzaniu diabelskich, ścinających z nóg mikstur, wymyślonych chyba na końcu świata. W takich razach Fryderykowi wydawało się, że pokój kredensowy i jadalnia zamieniły się w knajpę. Gdy kiedyś napomknął o tym w żartobliwej formie, Tom odrzekł, że gdyby on miał dobrze nabitą kabzę, to w każdym pokoju jego domu byłby osobny bar.

Teraz w domu ciągle przebywali licznie młodzi ludzie; było ich o wiele więcej niż kiedykolwiek przedtem. Oni także pomagali w urządzaniu koktajli i Fryderyk tą właśnie okolicznością najchętniej tłumaczyłby ich obecność, ale wiedział, że tak nie było. Tom i jego córka robili po prostu to, co nie udawało się jemu i Mary — przyciągali jak magnes. Magnesem były śmiech, młodość i radość ożywiające dom. Dzień i noc słychać było klaksony samochodów w wyżwirowanych alejkach. Bez przerwy trwały letnie pikniki, wycieczki i rejsy pod żaglami w księżycowe noce. Wyruszano nieraz przed świtem, aby wrócić o północy; nigdy jeszcze w pokojach gościnnych nie było takiego tłoku jak teraz. Tom przypominał sobie czasy swojego chłopięctwa — znów zaczął się włóczyć, łowić pstrągi w Byczym Potoku, strzelać do przepiórek na łąkach Walcotta, tropić jelenie na Round Mountain. Jeden z owych jeleni przyczynił Fryderykowi niemało troski i wstydu. Cóż stąd, że trwał właśnie okres ochronny? Tom triumfalnie przyniósł ustrzelonego przez siebie byka do domu, a gdy podano go i zjedzono przy jego własnym, Fryderyka, stole, radośnie obwieścił, że był to łosoś złowiony w górskim potoku.

Często urządzali uczyty nad zatoką; gdy ryczała fala przyboju, piekli małże. Tom opowiadał beczelnie o „Zimorodku” i o przemycie kontrabandy pytając Fryderyka przy wszystkich, jak wówczas w tajemnicy zdołał przesznułować konia do rybaków. Wszyscy młodzi ludzie konspirowali z Polly, aby zaspokajać namiętności Toma. Pewnego dnia Fryderyk usłyszał więc o prawdziwych okolicznościach polowania na owego nieszczęsnego jelenia: o tym, jak go zakupiono w Golden Gate Park, cierpiącym od nadmiaru zwierzyny, i wieziono w klatce pociągiem, końmi i na grzbiecie mułów aż do mateczników Round Mountain; jak Tom zdrzemnął się na wykrytym świeżo tropie; o pościgu przedsięwziętym przez młodych ludzi i o zmordowanych wierzchowcach, o przedzieraniu się przez gęstwinę i upadkach z konia, o osaczeniu jelenia na polarne Spalonego

Rancza i wreszcie o triumfalnym ukończeniu polowania, gdy osaczonego po raz drugi rogasza Tom położył z odległości pięćdziesięciu jardów. Wszystko to było dziwnie bolesne dla Fryderyka. Czy jemu okazywano kiedykolwiek takie względy?

Zdarzało się, że Tom musiał zostać w domu, a swawole na świeżym powietrzu trzeba było odłożyć na później. Ale i wtedy wszyscy skupiali się wokół niego. Drzemał w wielkim fotelu, budząc się od czasu do czasu w ten swój dziwny, nieoczekiwany sposób, aby skręcić papierosa czy zagrać na ukulele — czymś w rodzaju małej gitary portugalskiego pochodzenia. Wtedy odkładał na bok zapalonego papierosa, co ciągle zagrażało politurze mebli, i brzdąkając rytmicznie na instrumencie intonował głębokim (barytonem) jakąś *hula z mórz* południowych albo skoczną francuską czy hiszpańską piosenkę.

Jedna z nich szczególnie spodobała się Fryderykowi. Była to — jak mu wyjaśnił Tom — ulubiona pieśń tahitańskiego króla, ostatniego z dynastii Pomare, który zresztą sam ją skomponował, a śpiewając miał zwyczaj leżeć na matach. Jej słowa składały się z paru zaledwie sylab. *E meu ru ru a vau* — zaczynała się pieśń i to był cały jej tekst, wyśpiewywany w majestatycznych, nie kończących się wariacjach przy wtórze podniosłych tonów ukulele. Polly z wielką radością uczyła stryja tej piosenki, ale gdy pewnego razu Fryderyk — sam ulegając przemożnemu, radosnemu fluidowi życia, który otaczał brata — spróbował ją zaśpiewać, spostrzegł u słuchaczy hamowaną i ciągle rosnącą wesołość; chichotali i parskali, aby w końcu wybuchnąć wielkim, wesołym śmiechem. Z zażenowaniem i niesmakiem dowiedział się od nich, że te kilka sylab, które po tylekroć powtarzał, znaczy ni mniej, ni więcej tylko „Taki jestem pijany”. Zrobiono z niego durnia. Uroczyście i solennie on, Fryderyk Travers, głosił wszem wobec, jak bardzo jest pijany. Po tym wydarzeniu zawsze opuszczał ukradkiem pokój, ilekroć zaśpiewano ową piosenkę. Wyjaśnienie Polly, jakoby ostatnie słowo znaczyło nie „pijany”, lecz „szczęśliwy”, nie trafiło mu do przekonania; musiała przecież przyznać, że stary król był pijakiem i że zawsze gdy zaczynał śpiewać, dobrze szumiało mu w głowie.

Fryderyka ciągle dręczyło wrażenie, że pozostaje na zewnątrz tego wszystkiego. Z natury był towarzyski i lubił żarty; skądinąd były one wykwintniejszej, bardziej nobliwej marki niż te, za którymi przepadał jego brat. Nie mógł przeto zrozumieć, dlaczego niegdyś młodzież uważała jego dom za nudny i omijała go, wyjąwszy jakieś okazje, a teraz zjawiała się tłumnie, choć — prawda — nie u niego, lecz u brata. Nie mógł mu się też podobać sposób, w jaki młode kobiety łąsiły się do Toma i mówiły doń po imieniu; a już zupełnie nieznośnie było patrzeć, jak szarpia i skręcają jego korsarskie wąsy udając gniew, gdy któraś z jego czasem zbyt śmiałych kpin osiągała cel.

Takie zachowanie było profanacją pamięci Izaaka i Elizy Travers. W domu panowała atmosfera stanowczo zbyt swobodna. Długiego stołu nigdy nie składano, a do kuchni trzeba było przyjąć jeszcze jedną dziewczynę. Śniadania trwały od czwartej aż do jedenastej, a kolacje o północy i związane z tym najazdy na pokój kredensowy dręczyły bardzo Fryderyka. — Mój dom zamienił się w restaurację albo hotel — drwił sobie gorzko i po cichu, i nieraz przychodziła nań okrutna ochota walnąć pięścią w stół i przywrócić stare porządki. Ale przemożny urok władczego brata nadal działał bardzo silnie: nieraz Fryderyk spoglądał nań prawie z lękiem, usiłując po omacku rozeznaczyć się w alchemii tego czaru. Zbijały go jednak z tropu dziwne blaski w oczach brata i wypisana na jego twarzy mądrość dalekich stron, dzikich nocy i dni, które przeżył. Co to było? Jakież to dumne wizje przelatywały mu przed oczyma — jemu, człowiekowi nieodpowiedzialnemu i nie troszczącemu się o nic? Fryderyk przypomniał sobie słowa starej piosenki: „Przyszedł błyszczącym w słońcu gościńcem”. Dlaczego Tom kojarzył mu się z ową piosenką? Czy człowiek, który jako chłopiec nie znał żadnego prawa, a jako mężczyzna wynosił się ponad nie, naprawdę mógł odnaleźć ów jasny gościńiec?

Było w tym wszystkim coś niesprawiedliwego, co dręczyło Fryderyka, póki nie zaczęło

przynosić mu ulgi rozpamiętywanie klęski i bankructwa którym kończy się życie brata. Wtedy dopiero, w tych krótkich chwilach, znajdował trochę ukojenia; pokazując Tomowi posiadłość, miał okazję do pochwalenia się swoim dziełem.

— Dobra robota, Fred — mawiał wtedy Tom. — Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

Mówił to często i często zasypiał w wielkiej, miękko mknącej limuzynie.

— Wszystko wyczyszczone, (uporządkowane, jak spod igły, każde źdźbło trawy na swoim miejscu — skomentowała Polly. — Jak ty to robisz? Jak to dobrze, że nie jestem trawą rosnącą ona twoich łąkach — dodała wzdrzając się lekko.

— Musiałeś ciężko pracować — rzekł Tom.

— Talk, pracowałem ciężko — potakiwał Fryderyk. — Ale nie żałuję tego.

Chciał powiedzieć więcej na ten temat, ale po wstrzymał go dziwny wyraz oczu Polly. Zapadło niezręczne milczenie. Czuł, że dziewczyna taksuje go i rzuca wyzwanie. Szacunek i sława, którymi ogólnie się cieszył jako architekt dobrobytu hrabstwa, zostały po raz pierwszy zakwestionowane, i to przez kogo przez dzierlatkę, córkę włóczęgi, która sama była tylko przelotnym ptakiem, wędrownym obcym stworzeniem.

Konflikt między nimi był nieunikniony. Od pierwszej chwili Fryderyk poczuł do niej niechęć, zanim jeszcze zaczęła mówić. Sama jej obecność wytrącała go z równowagi. Wyczuwał jej milczącą dezaprobatę, choć były momenty, że posuwała się dalej i mówiła wszystko prosto z mostu jak mężczyzna i jednocześnie tak, jak żaden mężczyzna jeszcze do niego nie mówił.

— Ciekawe, czy nigdy nie odczuwałeś braku tego, co straciłeś — powiedziała nagle. — Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek, przynajmniej raz w życiu, machnąć na wszystko ręką? Albo się upić? Albo palić aż do odurzenia? Albo tańczyć do upadłego? Albo wspiąć się na tylne łapy i zrobić oko do Pana Boga jak do dobrego kumpla?

— Co za dziewczyna! — zarechotał Tom. — Wykapana matka!

Fryderyk, uśmiechnięty i pozornie spokojny, poczuł, jak przerażenie ściska mu serce. To było niewiarygodne.

— Jest, zdaje się, takie angielskie powiedzenie — mówiła dalej — że mężczyzna nie zaczął żyć, dopóki nie pocałował kobiety i nie bił się z mężczyzną. Przyznaj się — walczyłeś kiedykolwiek z mężczyzną?

— A ty? — odparował.

Skinęła głową, a w jej oczach błysnął gniew na wspomnienie tego. Czekwała na odpowiedź Fryderyka.

— Nie, nigdy nie miałem tej przyjemności — powiedział wolno. — Wcześniej nauczyłem się panować nad sobą.

Potem znowu ogarnęła ją irytacja, gdy słuchała, jak z upodobaniem wylicza swe sukcesy: jak to poradził sobie z obfitością łososi w Klamath River, jak za prowadził pierwszą hodowlę ostryg w zatoce i uzyskał w tej dziedzinie intratny monopol, i jak po wyczerpujących długoletnich sporach i prawowaniu się zawładnął wybrzeżem Williamsport, przechwytyjąc w ten sposób kontrolę nad Lumber Combine. Ponowiła atak:

— Zdaje się, że oceniasz życie w kategoriach zysku i straty... Ciekawam, czy byłeś kiedykolwiek zakochany!...

Cios był dobrze wymierzony. Fryderyk rzeczywiście nigdy naprawdę nie miał kobiety. Jego małżeństwo było małżeństwem z rozsądku; «zawarł je, aby ocalić majątek w czasach, gdy przegrywał już walkę o uwolnienie z długów rozległych ziem, które pochwyliła była mocna ręka Izaaka Traversa. Prawdziwa wiedźma z tej dziewczyny! Wykryła zastarzałą ranę, która znowu zaczęła

boleśnie krwawić. To prawda — nie miał nigdy czasu na miłość. Przez wszystkie te lata ciężko pracował: był prezesem izby handlowej, prezydentem miasta, senatorem w rządzie stanowym — ominęła go tylko miłość. Kilka razy przypadkiem zdarzyło mu się ujrzeć Polly leżącą bezwstydnie w ramionach ojca; widział ich oczy, tkliwe i ciepłe. Wtedy także uświadamiał sobie, że on sam nigdy nie zaznał miłości. Brak opanowania u tych dwojga był oczywisty, ale przecież jemu i Mary coś takiego nie zdarzyło się nigdy, nawet w najbardziej ścisłej intymności! Mary była dzieckiem takim, jakiego należało oczekiwać po małżeństwie z rozsądku — normalnym, sztywnym i bezbarwnym. Niekiedy zadawał sobie nawet pytanie, czy to, co do niej czuje, jest w ogóle miłością. A czy jego, Fryderyka, kochał ktokolwiek na tym świecie?

Po ostatnich słowach Polly uczuł w sobie wielką pustkę. Wydało mu się oto, że zamiast wszystkiego, co miał, jego dłonie zgarniają popioły. I wtedy spostrzegł nagle w sąsiednim pokoju Toma drzemącego w wielkim fotelu — siwego, starego i bardzo zmęczonego człowieka. Zaraz przypomniał sobie wszystko, czego dokonał, wszystko, co posiadał. A co miał Tom? Czego dokonał on oprócz tego, że trwonił swe życie i przegrał je, a wszystko, co zeń zostało, to nikła iskierka nieśmiało migocąca w obumierającym ciele?

Szczególnie dręczyło Fryderyka to, że Polly w równym stopniu odpycha go, co przyciąga. Czegoś podobnego nigdy nie doświadczał w stosunku do własnej córki. Mary poruszała się po utartych koleinach życia i odgadnięcie tego, co robi za chwilę, było czynnością tyleż łatwą, co automatyczną. A Polly, dziewczyna o mieniającej się różnymi odcieniami, proteuszowej naturze! Nigdy nie wiedział, co owo stworzenie zamierza właśnie uczynić. — Zgadywanka, co? — chichotał Tom.

Niepodobna było oprzeć się jej. Umiała z Fryderykiem postępować tak, jak Mary nie potrafiłaby nigdy. Pozwalała sobie na wiele względem niego, raniła go i oszukiwała, ale wszystko to zmuszało go do ciągłego uświadamiania sobie jej obecności.

Kiedyś, po którejś z rzędu utarczce, dziewczyna zasiadła do fortepianu i zagrała coś, co przyprawiło go o najwyższe wzburzenie — jakąś zwariowaną, diabelską melodię, która mieszała go i rozdrażniła; krew nagle napłynęła mu do chłodnego, uporządkowanego zazwyczaj mózgu, aby wybijać w nim jakieś nowe dzikie rytmy i fantastyczne wizje. Najgorsze było to, że Polly wiedziała, co robi i jak to na niego wpływa. Wiedziała, zanim Fryderyk sam zdał sobie z tego sprawę, zresztą przy jej pomocy: na twarzy dziewczyny, zwróconej w jego stronę, snuł się drwiący, zamyślony uśmiezek, nieledwie wyniosłe szyderstwo. Ten szok przywołał go do porządku, pozwalając mu uświadomić sobie orgię, którą urządziła jego wyobraźnia pod wpływem tej przekłętej muzyki. Z wiszących nad głową dziewczyny portretów patrzyły surowe, pełne wyrzutu oczy widm — Izaaka i Elizy. Rozwścieczony wyszedł z pokoju. Nigdy nie przypuszczał, że taka potęga może drzemać w muzyce. A w chwilę potem — wspominał to ze wstydem — na palcach podkradł się pod drzwi, aby słuchać dalej, i ona usłyszała kroki, i znowu ogarnęła go wściekłość.

Gdy Mary spytała ojca, co sądzi o grze Polly, natychmiast nasunęło mu się porównanie. Oto gra Mary kojarzyła się w jego umyśle z kościołem: była zimna i naga jak dom zebrzań metodystów, podczas gdy muzyka Polly przywodziła na myśl szaleńczą, orgiastyczną ceremonię w jakiejś pogańskiej świątyni, gdzie wśród dymów kadzideł tańczy bajadery.

— Jej muzyka brzmi obco — odrzekł zadowolony ze zrzęczości, z jaką udało mu się wykręcić od jednoznacznej odpowiedzi.

— Polly jest prawdziwą artystką — wyrzekła z namaszczeniem Mary. — Jest geniuszem. Kiedy ona ćwiczy? Czy w ogóle ćwiczyła kiedykolwiek? Wiesz, jak dużo pracuję, a przecież najlepsze moje granie wygląda jak Wprawka przy najgłupszej piosence Polly. Boże, o ilu cudownych, niewypowiedzianych rzeczach opowiada mi jej muzyka! A moja mówi tylko: jeden-dwattrzy, jeden-

dwa-trzy! Oszaleć można! Pracuję, pracuję i nic z tego. To jest niesprawiedliwe! Czemu ona mogła się taka urodzić, a ja nie?

— Miłość — przemknęło mu w myśli, ale nim miał czas zatrzymać się przy tej refleksji, zaszło coś zupełnie nieoczekiwanego: Mary wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Łkała jak dziecko i Fryderyk chciał wziąć ją w ramiona, tak jak to robił Tom, ale nie wiedział jak, nie potrafił. Próbował, lecz Mary okazała się równie niezgrabna i wprawiło to oboje w zakłopotanie.

Kontrast między dziewczętami był uderzający. Jaki ojciec, taka córka: Mary wyglądała przy Fryderyku jak błady adiutant przy pysznym, zwycięskim generale.

Zapobiegliwość i gospodarność Fryderyka była wystawiana na ciężkie próby przez Mary, która lubiła się stroić. Wiedział dobrze, jak kosztowne są jej suknie, a przecież musiał przyznać, że sklecone naprędce, tanie i pozornie niedbałe fatałaszkę Polly były zawsze bez zarzutu i wyglądały o wiele lepiej niż drogie toalety jego córki. Gust tej dziewczyny był po prostu bezbłędny. Sposobu, w jaki nosiła szal, w ogóle nie dało się naśladować; z pomocą byle gałganka dokonywała wręcz cudów.

— Wrzuca na siebie byle co — skarżyła się Mary — i nawet nie przymierza. Potrafi się ubierać w ciągu piętnastu minut, a gdy idzie popływać, wszystkie chłopaki wyskakują z kabin, żeby na nią popatrzeć.

Podziw Mary był szczery, choć pełen niedowierzania.

— Nie pojmuję, jak ona to robi. Nikt nie odważyłby się włożyć na siebie tych kolorowych szmatek, które na niej wyglądają doskonale!

— Groziła mi zawsze, że gdy wypłuczę się z forsy na amen, założę pracownię i będzie szyciem zarabiać na nas dwoje — wtrącił Tom.

Fryderyk był kiedyś świadkiem pouczającej sceny. Znad gazety spostrzegł wchodzącą Mary; wiedział, że stroiła się przedtem przez bitą godzinę.

— Jak ładnie wyglądasz! — wykrzyknęła Polly. Jej twarz i oczy promieniały niekłamana przyjemnością, a dłonie zatańczyły w zachwycie — Ale czemu nie nosisz tej kokardy tak... i tak?

Dłonie dziewczyny zamigotały szybko wokół Mary i po chwili jej nieomylny smak wyczarował cudowną przemianę, widoczną nawet dla Fryderyka.

Polly, jak jej ojciec, była nieprawdopodobnie hojna, co przy mizernym stanie jej posiadania wyglądało wręcz absurdalnie. Mary zachwycała się pysznym hiszpańskim wachlarzem, stanowiącym własność Polly, a pochodzącym z Meksyku, z dworu cesarza Maksymiliana, gdzie używała go zapewne jakaś wielka dama. Radość Polly wybuchnęła jak płomień i oto wachlarz był już własnością Mary, prawie zgnębionej urojonym obowiązkiem rewanżu, który rzekomo wzięła na siebie przyjmując podarek. Tylko cudzoziemka mogła robić takie rzeczy; Polly miała zresztą na sumieniu więcej podobnych grzeszków. Taka już była. Koronkowa chusteczka, różowa perła z Paumotów, kolorowa płytkę z pancerza wielkiego morskiego żółwia — wszystko miało dla niej tę samą wartość; na czymkolwiek spoczął zachwycony wzrok którejś z młodych kobiet, zaraz stawało się to jej własnością. Żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie potrafiłaby się oprzeć jej urokowi.

— Nie wolno mi na nic spojrzeć — skarżyła się Mary — bo zaraz mi to daje.

Fryderykowi nawet się nie śniło, że ktoś taki jak Polly może w ogóle istnieć. Spodziewać się takiego dziecka po kobietach z jego własnej rasy i sfery było czymś absolutnie niewyobrażalnym. Wiedział, że wszystko u tej dziewczyny — jej niepohamowana hojność, jej gorący entuzjizm i szybki gniew, jej kocie sposoby przymilania się — jest niewiarygodnie szczere. Jej dziwaczne nastroje szokowały go i fascynowały zara zem. Jej głos mienił się tak samo jak one. Nie było w nim równych tonów; poza tym mówiły także jej ręce. W jej ustach angielski był innym, pięknym językiem, miękkim

i czystym. Śmiało budowane zdania miały w jej ustach wyrazistość, która rodziła subtelności i niuanse równie jasne i przejrzyste, co zaskakujące u kogoś tak młodego i nieskomplikowanego jak ona. Nocami Fryderyk budził się i w ciemności widział pod powiekami zanikające z wolna kontury jej wesołej, śmiejącej się twarzy.

# IV

Jaka córka, taki ojciec. Urokowi Tama także niepodobna było się oprzeć. Ciągłe jeszcze przybywali do niego w odwiedziny obcy, dziwni ludzie, znoszący mu wieści ze świata. Takich gości nigdy przedtem nie oglądał dom Traversów. Niektórzy z nich mieli kołyszący się chód ludzi morza. Przychodziły więc mroczne typy spod ciemnej gwiazdy; jeszcze inni byli spaleni przez gorączkę, o cerze ziemistej, a wszyscy wyglądali jakoś obco i dziwnie. Także ich mowa brzmiała obco i niezwykle — mówili o rzeczach, o których istnieniu Fryderykowi się nie śniło, których nawet nie przeczuwał, choć odgadywał, kim są ci ludzie — landsknechtami fortuny, poszukiwaczami przygód, włóczykijami z całego świata. Ale tym, co od razu z całą siłą rzucało się w oczy, była miłość i wierność, którą okazywali swemu „szefowi”. Nazywali go różnie — Czarny Tom, Blondyn, Husky Travers, Mocny Tom, Tom Rwąca Woda; przeważnie jednak był dla nich Kapitanem Tomem. Ich projekty i propozycje były tak samo różnorodne: handlarz z mórz południowych mówił o odkryciu nowej wyspy z guanem; jakiś Latynos — o szykującej się gdzieś w Ameryce Południowej rewolucji; ktoś inny proponował pogoń za syberyjskim złotem i poszukiwanie złotoonośnych piasków w górnym biegu Kuskokeem, nie mówiąc o innych, ciemniejszych interesach, które omawiano szeptem. A Kapitan Tom ubolewał z powodu chwilowej niedyspozycji uniemożliwiającej mu natychmiastowy wyjazd z nimi i nadal siadywał w miękkim fotelu, i drzemał coraz częściej. To Polly z poufałością, która napełniła jej stryja niesmakiem, wyjaśniała tym ludziom na stronie, że Kapitan Tom nigdy już nie wyjdzie na jasny gościniec. Ale nie wszyscy przychodzili z projektami na przyszłość. Wielu z nich przybywało po to, by odwiedzić swego ukochanego szefa ze starych, niezapomnianych dni: Fryderyk był nieraz świadkiem tych spotkań i znowu zdumiewał go tajemniczy urok brata przyciągający doń wszystkich.

— A niech to żółwie Tasmana! — wołał Oto jeden z nich — dowiedziałem się, że siedzicie w Kalifornii, Kapitanie, musiałem po prostu przyjść i uścisnąć wam dłoń. Nie zapomnieliście chyba Tasmana, co? i draki koło Wyspy Czwartkowej. No wiec starego Tasmana wykończyli w zeszłym roku jego Negrowie, gdzieś w drodze na Niemiecką Nową Gwineę. Pamiętacie jego kucharza, Ngani-Ngani? On był prowodyrem. Tasman głowę by dał za niego, i rzeczywiście: to Ngani-Ngani poderżnął mu gardło.

— Uściśnij dłoń kapitana Carlsena, Fred — przedstawił Tom swemu bratu innego gościa. — Kiedyś na Zachodnim Wybrzeżu wyciągnął minie z niewąskiej rozróby. Przepadłbym z kretesem, Carlsen, gdybyś się wtedy nie nawinął.

Kapitan Carlsen było to ogromne, ciężkie chłopisko o bardzo bladych świdrujących oczkach, dobrze pokiereszowanej gębie, której blizny częściowo tylko zakrywała ognistoruda broda, i potężnej łapie; od jej uścisku Fryderyk aż skrzył się z bólu.

Po kilku minutach Tom odwołał brata na bok.

— Słuchaj, Fred, czy nie sprawię ci kłopotu, jeśli pożyczysz mi tysiąc dolarów?

— Ależ skąd — odrzekł wspaniałomyślnie Fryderyk. — Wiesz przecież, że połowa tego, co mam, należy do ciebie.

A gdy kapitan Carlsen zniknął, Fryderyk był głęboko przeświadczony, że tysiąc dolarów zniknęło wraz z nim.

Nie było się co dziwić, że Tom przegrał życie i wrócił do domu, aby umrzeć. Siedząc przy swym uporządkowanym jak zawsze biurku, Fryderyk rozważał skrupulatnie wszystko, co różniło go od brata. Tak, gdyby ostateczny bilans nie wypadł korzystnie dla niego, Fryderyka, nie byłoby tego domu, a Tom nie miałby gdzie umrzeć.

Dla ulżenia sobie Fryderyk pogрузił się w rozpamiętywaniu przeszłości. Tak, to on był zawsze ostoją i tylko na niego można było zawsze liczyć. Tom wiódł życie wesołe i swawolne, chodził na wagary i nie słuchał poleceń Izaaka. Wszędzie było go pełno — w górach i na morzu, przy kłótniach z sąsiadami i z władzami miejskimi — wszędzie, tylko nie tam, gdzie czekała ciężka codzienna harówka. A praca w tych mrocznych, odległych czasach była naprawdę pracą i to właśnie on, Fryderyk, podjął cały jej ciężar. Pracował dzień po dniu, od rana do nocy. Pamiętał taki okres — rozległe plany Izaaka doznały właśnie którejś z rzędu porażki — gdy zabrakło chleba przy stole człowieka, który był przecież właścicielem stu tysięcy akrów ziemi, gdy nie było pieniędzy na wynajęcie ludzi do koszenia siana; mimo to Izaak nie popuścił wówczas ani jednego akra. To on, Fryderyk, ładował wtedy siano na wóz; Izaak kosił i zagrabiał, a Tom tymczasem leżał w łóżku ze złamaną nogą, powiększając w ten sposób zadłużenie u doktora. Spadł z kalenicy stodoły, które to miejsce było najmniej ze wszystkich możliwych odpowiednie do ładowania siana. Zdaje się, że jedyną pracą, jaką wykonywał Tom, było znoszenie dziczyzny i niedźwiedziego sadła, ujeżdżanie dzikich żrebacków i czynienie zgiełku ze sforą swych psów w dolinach i lesistych parowach okolicy.

Tom był starszy, ale gdy Izaak umarł, majątek rychło popadłby w ruinę, gdyby on, Fryderyk, nie pochylił się dobrze i nie wziął ciężaru na swe barki. Praca! Wspomniał podjętą *przez* siebie rozbudowę miejskich wodociągów — swe rozliczne zabiegi i operacje finansowe; przypomniał sobie, jak zebrał o lichwiarskie pożyczki, jak układał rury i uszczelniał złącza w nocy, przy świetle latarni, gdy robotnicy już spali — aby rankiem być znów na ich czele, robić pomiary i projekty, łamiąc jednocześnie głowę nad podwyżką ich najbliższej tygodniówki. Albowiem kontynuował wytrwale politykę starego Izaaka. Nie chciał ustąpić. Wiedział, że przyszłość go doceni.

A Tom tymczasem przebiegał góry z wielką sforą psów i tygodniami przebywał poza domem. Pamiętał ostatnią scenę w kuchni — Tom, on i Eliza Travers, ciągle zajęta gotowaniem, pieczeniem i zmywaniem naczyń, ciągle jeszcze zwijająca się po majątku, który miał na hipotecę sto osiemdziesiąt tysięcy.

— Nie róbcie podziaków — błagała opierając się na swych czerwonych, przeżartych mydłem rękach. — Izaak miał rację, za parę lat ta ziemia warta będzie miliony, kraj zaczyna się rozwijać. Powinniśmy trzymać się w kupie.

— Nie chcę majątku — zawołał Tom. — Niech Fryderyk weźmie go sobie. Dajcie mi tylko...

Nigdy nie kończył zdania, ale w jego oczach paliło się pożądanie całego świata.

— Nie mam czasu na czekanie — mówił dalej. — Weź te miliony, gdy wreszcie przyjdzie ich czas. Teraz daj mi dziesięć tysięcy, zrzekam się całej reszty. I daj mi stary szkuner, a pewnego dnia wrócę z kupą forsy, aby ci pomóc.

Fryderyk oczyma wyobraźni ujrzał siebie wyrzucającego ze zgrozą ramiona w górę:

— Dziesięć tysięcy! — wykrzyknął — gdy ja ryzykuję bankructwo, aby spłacać procenty!

— Koło sądu imamy szmat ziemi, za który bank daje dziesięć tysięcy — upierał się Tom.

— I który za dziesięć lat wart będzie sto tysięcy — oponował Fryderyk.

— Zgoda. W takim razie podpiszę papierek, w którym zrzekam się stu tysięcy, a ty sprzedaj ten kawałek za dziesięć i daj mi tę forszę. To wszystko, czego chcę, i chcę to mieć już, teraz.

I Tom jak zawsze postawił na swoim (choć ziemię dano w zastaw zamiast sprzedać): wypłynął w świat starym szkunerem błogosławiony przez całe miasto, bo jako swoją załogę zabrał połowę wszystkich łobuzów z wybrzeża.

Szczątki szkunera spoczęły na plażach Jawy. Było to mniej więcej wtedy, gdy Eliza Travers przechodziła operację katarakty; Fryderyk nie mówił jej nic, póki nie przyszła wiadomość, że Tom żyje.



Fryderyk poszperał w swych kartotekach i wyciągnął teczkę z napisem „Tomasz Travers”. Były w niej metodycznie ułożone pliki listów. Zaczął je przeglądać: pochodziły ze wszystkich stron świata — Chiny, Rangun, Australia, Południowa Afryka, Złote Wybrzeże, Patagonia, Armenia, Alaska. Pisane zwięźle i z rzadka, dość wyczerpująco streszczały życie włóczykija. Fryderyk przebiegł w myśli najważniejsze punkty życiorysu brata: brał udział w jakichś walkach interwencyjnych w Armenii, był oficerem armii chińskiej, a potem parał się handlem na chińskich morzach, przy czym było zupełnie pewne, że ów handel miał charakter nielegalny. Na Kubie znów przyłapano go na przemyśle broni. Zdaje się zresztą, że Tom ustawicznie coś dokądś przemycał i że zawsze był to przemyt mocno podejrzany. Nigdy też nie wyrósł z tych nawyków. W jednym z listów pisanych na pomarszczonym jedwabnym papierze donosił, że jeszcze w czasie wojny rosyjsko-japońskiej przyłapano go, jak przemycał węgiel do Port Arthur: jego parowiec odholowano do Sasebo, gdzie został skonfiskowany jako zdobycz wojenna, a samego Toma wsadzono do więzienia, w którym przebywał aż do zakończenia wojny.

Fryderyk uśmiechnął się, czytając w innym miejscu: „Jak ci się powodzi? Napisz od czasu do czasu, czy nie trzeba ci paru tysięcy”. Spojrzał na datę: 18 kwietnia 1883, i rozpakował następny plik. Kartka papieru, którą zeń wyciągnął, nosiła datę 5 maja 1883. „Pięć tysięcy postawiłoby mnie na nogi. Jeśli możesz i jeśli mnie kochasz — przyślij je PRONTO, czyli piorunem, jak mówią Hiszpanie”.

Porównał obie daty: było oczywiste, że gdzieś między 18 kwietnia a 5 maja Tom znów wziął cięgi od losu. Fryderyk z gorzkim półuśmiechem przerzucał korespondencję. „Na Midway leży wrak. Fortuna, mówię ci, po prostu dar niebios. Za dwa dni licytacja. Prześlij telegraficznie cztery tysiące”. W ostatnim liście czytał: „Jest dobry interes, potrzeba mi trochę gotówki. Gruby interes. Tak gruby, że boję się pisać...” Pamiętał, co to było — następna rewolucja gdzieś w Ameryce Łacińskiej. Wysłał wtedy gotówkę i Tom rzeczywiście ubił interes: pieniądze przepadły, a on sam wylądował w więzieniu z wyrokiem śmierci.

Intencje Toma były czyste, nie można zaprzeczyć. Zawsze też skrupulatnie przysyłał pokwitowania. Fryderyk z zadumą ważył w dłoni plik kwitów, jakby chciał ustalić, czy między ciężarem tych papierów i sumami pieniędzy, na które opiewały, istniał jakikolwiek związek.

Potem zamknął szufladę i opuścił gabinet. Z drugiego pokoju wychodziła właśnie na palcach Polly, popatrzawszy w głąb wielkiego fotela, Fryderyk ujrzał Toma z odrzuconą w tył głową. Oddychał ciężko sapiąc z cicha, a na jego odprężonej twarzy widać było wyraźnie piętno choroby.

— Ciężko pracowałem — Fryderyk wyjaśniał Polly na werandzie tego samego wieczoru, nie zdając sobie sprawy, że gdy mężczyzna zaczyna się tłumaczyć, oznacza to, iż jego sytuacja staje się poważna. — Robiłem wszystko, co nawinęło się pod rękę i sądzą, że jest to powód do dumy. Zresztą opłaciło mi się to. Troszczyłem się o innych i o siebie samego; lekarze mówią, że nie spotkali nikogo w moim wieku w takiej formie. Cóż, mam jeszcze prawie połowę życia przed sobą, a my, Traversowie, żyjemy długo. Dbałem o siebie, jak sama widzisz, nie trwoniłem zdrowia. Moje serce i arterie są w najlepszym porządku, a nie każdy kto pracował tak jak ja, może się tym pochwalić. Spójrz na tę rękę. Krzepka, co? I zapewniam cię, że za dwadzieścia lat będzie tak samo krzepka. Nie warto być lekkomyślnym.

Przez cały ten czas Polly rozważała porównanie, na które naprowadzały ją słowa stryja.

— Masz prawo pisać „Czcigodny” przed swoim nazwiskiem — wypaliła dumnie. — Lecz mój ojciec żył jak król. Żył! A czy ty w ogóle żyłeś? Czym się możesz pochwalić? Bogactwa, obligacje, domy, służba — phi! Zdrowe serce i arterie, krzepka ręka — to wszystko? Czy znasz smak życia przeżywanego dla niego samego? Czy odczuwałeś kiedykolwiek strach przed śmiercią? Wołałabym zaśpiewać jakąś dziką piosenkę i umrzeć wraz z nią, niż żyć nawet tysiąc lat czuwając nad prawidłowym trawieniem i obawiając się wilgoci. Z ciebie zostanie proch, z mojego ojca — popiół. To cała różnica.

— Ależ, drogie dziecko — zaczął.

— Czym możesz się poszczycić? — zawołała namiętnie. — Posłuchaj!

Przez otwarte okno z wnętrza domu dochodziły srebrzyste dźwięki ukulele i wesoły głos Toma śpiewającego jedną z hawajskich *hula*, która pod koniec przechodziła w pierwotne, pulsujące namiętnością jakiejś podzwrotnikowej nocy zawołanie miłosne. Ten zew zrozumiały był dla każdego. Gdy Tom skończył, podniósł się zmieszany zgłębkiem młodych głosów — wołano „bis”. Fryderyk milczał. Czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego i ważnego.

Spojrzał przez okno: Tom siedział upojony i wspaniały, otoczony przez młodzież, podobny do wikinga ze swym wąsem; jedna z dziewcząt podawała mu ogień. Uderzyła go ta scena: nagle uświadomił sobie, że jemu, Fryderykowi, nigdy żadna kobieta nie zapalała cygara.

— Doktor Tyler mówi, że Tom nie powinien palić, to tylko pogarsza jego stan — rzekł, i było to wszystko, co zdołał z siebie wydobyć.

Z nadejściem jesieni pojawił się w domu nowy rodzaj gości, dumnie mówiących o sobie „weterani Północy”. Ściągali oni z Alaski, gdzie zajmowali się kopaniem złota, na Południe, do San Francisco, aby spędzić tu urlop zimowy. Zjawiało się ich coraz więcej, tak że wreszcie zajęli niemal w całości jeden z hoteli w dolnej części miasta. Kapitan Tom marniał w oczach w miarę jak robiła się jesień, i prawie nie ruszał się z fotela. Jego drzemki były coraz częstsze i coraz dłuższe, ale gdy się budził, zawsze widział wokół fotela swój „dwór” — otaczającą go ciasnym kręgiem młodzież, a pośród niej jakiegoś cierpliwego starego druha, który przyszedł, aby pofantazjować na temat odległych czasów lub cudownych planów na przyszłość.

Jakoż Tom — Husky Travers, jak zwali go ci znad Jukonu — nawet przez chwilę nie przypuszczał, że zbliża się koniec. — Przejściowa niedyspozycja — mówił o swej chorobie — normalne osłabienie po przewlekłym ataku jukatańskiej febry. Na wiosnę będzie już całkiem zdrowy. Mróz — oto czego mu trzeba, bo gorąco zwarzyło krew w jego żyłach. Najważniejsze to nie przejmować się i na razie, póki można, dużo wypoczywać.

Nikt nie odbierał mu złudzeń — nawet ci znad Jukonu, żujący tabakę, palący fajki i czarne cygara

na przestronnych werandach domu, w którym Fryderyk zaczynał się czuć jak intruz. Niemożliwością było nawiązać z nimi jakikolwiek kontakt... Traktowali go jak cudzoziemca, którego trzeba tolerować. Oni przyszli do Toma, a sposób, w jaki patrzyli na niego, był dla Fryderyka źródłem naiwnej zazdrości. Obserwował ich dzień po dniu. Widział, jak spotykali się w przelocie, gdy jeden akurat wchodził, a inny wychodził z pokoju — w milczeniu ściskali sobie za drzwiami dłonie, mocno i z namaszczeniem. Ten, który właśnie przybywał, spoglądał pytająco na kompana wychodzącego od Toma, a ów wymownie potrząsał głową; Fryderyk często widział łzy w ich oczach. Przybysz przysuwał krzesło do fotela Toma i jowialnym głosem zaczynał omawiać sprawy związane z wyekwipowaniem wyprawy w górę Kuskokeem, bo w tamte właśnie strony Tom miał wyruszyć z wiosną. Psy można było dostać u Larrabeego — dobra rasa, czysta, bez żadnych przymieszek południowych niewytrzymałych szczepów. Mówiono, że jest to surowy kraj, ale jeśli starzy nordmani, wyruszywszy od Larrabeego, nie mogli go przejść w ciągu czterdziestu dni, to żółtodziób nie przejdzie go nawet w ciągu sześćdziesięciu.

I tak było ciągle, aż Fryderyk zaczął się zastanawiać, czy w całym hrabstwie — nie (mówiąc już o sąsiednich — znajdzie się choć jeden człowiek, który stanie u wezgłowania jego śmiertelnego łoża, gdy przyjdzie mu umierać. Siedział przy biurku, a przez otwarte okno wchodziły kłęby tytoniowego dymu i dudniące głosy tych znad Jukonu; mimo woli chwycił urywki ich gadek.

— Pamiętacie, Kapitanie, ten ruch na Koyokuk gdzieś w latach dziewięćdziesiątych? No więc byliśmy wtedy kumple, ja i on, handlowaliśmy i w ogóle. Mieliśmy małą parową łódkę, „Pleciuga” się nazywała. Kapitałny był z niego facet. Tak ją nazywał, i pasowało. No więc załadowaliśmy małą „Pleciugę” po burty i ruszyliśmy w górę Koyokuk, ja przy kotle i maszynie, on przy sterze — obaj jako majtkowie. Raz przybiliśmy do brzegu, żeby narąbać drewno pod kocioł. Była już jesień i zaczęła spływać kasza lodowa, szykowało się na to, że zacznie marznąć na dobre. Byliśmy, wiecie, za kołem polarnym, i trzymaliśmy ciągle kurs na północ. Ale tam było dwustu górników, którzy potrzebowali żarcia na zimę, a my mieliśmy to żarcie.

No więc niedługo potem zaczęli nas oni mijać; płynęli na łódkach i tratwach w dół rzeki. Zwiewali stamtąd. Śledziliśmy ich: gdy naliczyliśmy stu dziewięćdziesięciu czterech, nie było już po co się tam pchać. No i popłynęliśmy z powrotem. Przyszedł trzaskający mróz, woda była bystra i niech mnie diabli, jeśli nie posadziło nas w końcu na ławicy, na lewym brzegu. „Pleciuga” siedziała mocno, ani drgnęła. „Szkoda, żeby całe to żarcie diabli wzięli” — mówię, jakieś tylko wsiedli do kanoe, żeby wiać. „Zostaniemy i sami zjemy to wszystko”. I zrobiliśmy tak, niech mnie diabli. Przezimowaliśmy na „Pleciudze” polując i handlując z Indianami, a jak lody ruszyły, tośmy spłynęli w dół ze skórą za osiem tysięcy. Teraz co roku obaj tam siedzimy przez całą zimę. Ale złego słowa od niego nie usłyszałem, Boże broń! Najrówniejszy kumpel, jakiego znałem. Ale twarda sztuka!

— Eh! — dał się słyszeć drugi głos. — Pamiętam, jak jednej zimy Tłusty Jones zaczął wywrzaskiwać, że robi porządek na Czterdziestej Mili. Tylko mu się nie udało, bo gdzieś po drugim ryku napatoczył się Hu sky Traversowi. Było to w Białym Karibu, „Jestem wilk” — wrzeszczy Jones. Znacie ten jego styl — rewolwer u pasa, frędzle przy mokasynach i długa grzywa na plecach. „Jestem wilk”, wrzeszczy, „i tej nocy będę wyć. Słyszysz mnie, ty długa nędzna imitacja człowieka?” — ryczy do Husky Traversa.

— No i? — spytał pierwszy po chwili milczenia.

— Po mniej więcej półtorej sekundy Tłusty Jones leżał na podłodze, a Husky siedział na nim i prosił uprzejmie (kogoś, żeby mu podał ostry rzeźniczy nóż. I wiecie, co zrobił? Obciął mu równiutko przy skórze tę jego długą grzywę. „Wyj sobie teraz, cholero, ile chcesz” — powiedział Husky, podnosząc się.

— Bo on miał zawsze zimną krew, jak trafił na dzikusa — podjął pierwszy. — Widziałem go przy ruletce u małego Wolverina: jak przez dwie godziny przerznął dziewięć tysięcy, pożyczył trochę więcej i odegrał się w ciągu kwadransa, a potem kupił coś do picia i — niech go diabli — puścił wszystko w ciągu drugiego kwadransa.

Jednego wieczora Tom zaczął zdradzać szczególne ożywienie i Fryderyk, zbliżywszy się do urzeczonego kręgu młodzieży usiadł, by posłuchać historii opowiedanej przez Toma pół żartem, pół serio — c tym, jak pewnej nocy jego statek rozbił się u wyspy Blang, jak ludzie ratowali się wpław i jak połowa z nich zginęła w paszczach rekinów; o wielkiej perle, którą Desay zdołał uratować, i o udekorowanej ludzkimi głowami palisadzie otaczającej pałac z darni, gdzie mieszkała malajska królowa ze swym dostojnym małżonkiem, Chińczykiem z kontynentu, rozbitkiem jak oni sami; o intrygach wokół perły Desaya; o dzikich nocnych uciechach, niespodziewanych niebezpieczeństwach i nagłych zgonach; o zalotach królowej do Desaya i Desaya do jej córki i o tym, jak w czasie odpływu rzucono go z pogruchotanymi kośćmi, jeszcze żywego, na rafę jako pastwę dla rekinów; o wybuchu zarazy i o egzorcyzmach czarowników przy wtórze tam-tamów; o ucieczce po zastawianych przez puszczańskich myśliwych pułapkach na dzikie świny, w które tym razem mieli wpaść ludzie, i na koniec o tym, jak Tasman wybawił ich z opresji — ten sam Tasman, którego zarżnięto zeszłego roku i którego głowa zdobi teraz częstokół jednej z melanezyjskich twierdz; a wszystko to dyszało żarem i niepohamowaną dzikością spalonych słońcem wysp Południa.

Fryderyk wbrew sobie samemu słuchał jak zahipnotyzowany, a gdy opowieść się skończyła, ogarnęło go uczucie dziwnej pustki. Wspominał własne dzieciństwo, gdy ślęczał nad pełnymi obrazków starymi książkami geograficznymi. On także marzył kiedyś o wspaniałych przygodach w dalekich krajach, on także pragnął wyjść na jasny gościniec. I on planował podróże; niestety, w udziale przypadły mu tylko praca i obowiązki. Tu może tkwiła różnica. Być może tu właśnie spoczywał sekret dziwnej mądrości, którą czytał w oczach brata. Przez moment zamajaczyły mu niewyraźnie i daleko wspaniałe, dumne wizje, oglądane przez Toma. Przypominał sobie brutalne słowa Polly: „Zaprzepaściłeś okazję do przygody. Przehandlowałeś ją za dywidendy”. Miała rację, ale była niesprawiedliwa. Pragnął przygód, lecz wcześniej obarczono go pracą. Harował dzień i noc, i nie zawiódł zaufania, którym go obdarzono. Nie zaznał jednak miłości i smaku szerokiego świata, jak Tom. Czym zasłużył sobie na to ów włóczęga, spędzający gnuśnie czas na śpiewaniu piosenek?

Jego pozycja była wysoka: niedługo zostanie gubernatorem Kalifornii. Ale czy jest na świecie ktoś, kto przyjdzie do niego, aby z miłości mówić mu kłamstwa? Teraz na myśl o posiadanych przez siebie bogactwach czuł w ustach gorzki, skrzypiący pył. Bogactwo! Każdy tysiąc dolarów był taki sam jak inny tysiąc dolarów, a dzień nie różnił się od drugiego dnia. Obrazki ze starych książek nigdy nie stały się rzeczywistością: nigdy nie bił się z mężczyzną i nigdy żadna kobieta nie podała mu ognia. „Człowiek może spać tylko w jednym łóżku naraz” — to były słowa Toma. Wzdrygnął się, gdy przyszło mu na myśl, ile łóżek, ile kołder było jego własnością. A przecież nie starczyłoby tego wszystkiego, aby kupić kogoś, kto przyszedłby doń z drugiego końca świata i uścisnął mu dłoń, i zawołał — „A niech to żółwie Tasmana!” Coś w tym rodzaju powiedział Polly, a w jego słowach wibrowała nuta skargi na niesprawiedliwy porządek świata.

— Nie mogło być inaczej — odpowiedziała. — Ojciec kupował życie nie pytając o cenę. Życie to rzecz królewska i tatuś płacił za nią jak król. Ty byłeś skąpy, sam musisz to przyznać. Oszczędzałeś swoje arterie i pieniądze, i bałeś się wilgoci.

# VI

Późną jesienią pewnego popołudnia wszyscy zebrali się wokół wielkiego fotela. Kapitan Tom nie zdawał sobie sprawy z tego, że drzemał prawie cały dzień, budząc się z rzadka i tylko po to, by poprosić o ukulele albo o ogień, który podawała mu Polly. Lecz instrument spoczywał beczynn timer pod jego ręką, a choć w wielkim kominku trzaskały wesoło sosnowe polana, wstrząsały nim dreszcze; skarżył się na zimno.

— To dobry znak — mówił nie zauważając, że wszyscy przybliżają głowy, zaniepokojeni jego niezwykle słabym głosem. — Zimno minie wzmocni. To ciężka robota — wygonić z krwi tropikalną gorączkę. Ale zaczynam już obmyślać wyprawę na Kuskokeem. Wiosną, Polly, ruszymy tam z psami; zobaczysz wreszcie słońce o północy. Twoja matka cieszyłaby się bardzo na taką wycieczkę. Odważna z niej była kobieta. Na Czterdziestej Mili czuwają, będziemy wybierać nuggety spod mchu. Larrabee ma parę ładnych zwierząt.

Znam tę rasę. To są leśne wilki, po prostu wielkie leśne wilki, choć w każdym miocie trafia się jeden rudawy — mam rację, Bennington?

— Dokładnie jeden w miocie, taka jest przeciętna — szybko powiedział Bennington, Jukończyk; jego głos był ochrypy, zmieniony nie do poznania.

— Z nimi nigdy nie wolno podróżować w pojedynkę — mówił dalej Kapitan Tom — bo jak upadniesz, skoczą na ciebie. Bestie od Larrabeego boją się człowieka tylko wtedy, gdy trzyma się na nogach. Gdy upadnie, jest dla nich mięsem. Pamiętam drogę z Tanana do Circle City. Było to przed odkryciem złóż w Klondike, w dziewięćdziesiątym czwartym... nie, w dziewięćdziesiątym piątym. Mróz był taki, że termometry pękały. Jeden młody Kanadyjczyk z całym ekwipunkiem... jak on się nazywał... miał takie dziwne nazwisko... zaraz... zaraz sobie przypomnę...

Głos nagle ucichł, choć Tom nadal pomazał wargami. Na jego twarzy odbiło się zdziwienie i niedowierzanie. Nagle wstrząsnął nim ostry, konwulsyjny dreszcz — w tej właśnie chwili ujrzał Śmierć. Zjawiła się bez ostrzeżenia; patrzył na nią mocnym, jasnym wzrokiem, jak gdyby namyślając się, a potem obrócił twarz ku Polly. Jego dłoń poruszyła się z wysiłkiem; usiłował wziąć ją za rękę, ale gdy jej dotknął, nie miał już siły, by zewrzeć palce. Patrzył na córkę z szerokim, jasnym uśmiechem, który z wolna zamierał. Zamknął oczy; życie z nich odeszło, a jego twarz przy brała wyraz spokoju i błogości. Ukulele dźwięcznie stuknęło o podłogę. Wszyscy jeden po drugim wychodzili z pokoju, zostawiając Polly samą.

Fryderyk patrzył z werandy na zbliżającego się drogą człowieka. Po kołyszącym się kroku odgadł, do kogo przychodzi cudzoziemiec. Skórę miał smagłą od słońca i pobrużdżoną przez wiek, z którym jaskrawo kontrastowała ruchliwość całej postaci i żywość spojrzenia bystrych czarnych oczu. W jego uszach wisiały maleńkie złote kolczyki.

— Dzień dobry panu — wyrzekł obcy i od razu widać było, że nie po angielsku uczył się na kolanach matki. — Jak się miewa Kapitan Tom? W mieście powiedzieli mi, że jest chory.

— Mój brat nie żyje — rzekł Fryderyk.

Wtedy przybysz odwrócił głowę i popatrzył na wypiełgnowane łąki i dalej, gdzie majaczyły pokryte sekwojowymi lasami góry; Fryderyk zauważył, że tamten przełyka z wysiłkiem.

— To był człowiek, a niech to żółwie Tasmana! — powiedział głębokim zmienionym głosem.

— To był człowiek, a niech to żółwie Tasmana! — powtórzył Fryderyk i nawet się nie zająknął wypowiadając dziwaczne przekleństwo.